Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 154 (Rok X, Nr 11) 1 czerwca 1950 Cena (Price) 1/6

KTO NIE CHCE JEDNOŚCI

POSTULAT jedności polityki polskiej w wolnym świecie jest niezwykle silny wśród uchodźstwa. Brak tej jedności jest wykorzystywany szeroko w kraju przez propagandę komunistyczną. Ale jedności nie wystarczy głosić, trzeba ją realizować. Urzeczywistnienie jedności politycznej jest w warunkach emigracyjnych szczególnie trudne, bo dobrej woli nie przychodzą tu z pomocą ani wyraźne dla każdego codzienne konieczności państwowe ani nacisk psychiczny wyborców. Tym trwalsze za to znaczenie ma porozumienie osiągnięte bez tych zewnętrznych pomocy. Tylko, że tę jedność trzeba wypracować a nie deklamować o niej.

Przed rokiem rozbicie polityczne emigracji po mianowaniu „bezpartyjnego" rządu było niemal kompletne. Działało co najmniej sześć różnych ośrodków. Utworzenie Rady Politycznej było pierwszym realnym krokiem do ujednolicenia polityki polskiej, pierwszym ale nie ostatnim. Poza Radą Polityczną pozostały już tylko dwa ośrodki: jeden skupiony przy rządzie p. Tomaszewskiego, nazywany powszechnie, mniej lub więcej słusznie, sanacyjnym, drugi o charakterze coraz bardziej personalnym zbierający się koło osoby p. Mikołajczyka. Ten ostatni ośrodek jak najdalszy się okazał od wszelkiej myśli o jedności. Zajmował stanowisko najbardziej jątrzące w każdej sprawie a ostatnio przybrał kształt „Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego", ostatecznie zrywając z ciągłością prawną państwa polskiego i w ten sposób stając poza społeczeństwem polskim na obczyźnie. Fikcyjny skład tego komitetu, w którym zasiadają takie potężne prądy jak „Stronnictwo Pracy" złożone z pp. Popiela, Modelskiego i Sieniewicza i „Stronnictwo Demokratyczne" złożone z p. Olszewskiego, nie przekreśla jego szkodliwości dla polityki polskiej. Daje on np. Amerykanom wymówkę dla decydowania kogo z Polaków wybrać do współpracy a w kraju odbija się niemiłym echem. Że kraj jest na te rzeczy wrażliwy i o emigracji myśli, tego dowodzi ostatnia mowa Bieruta, w której dłuższy ustęp poświęcił barwnemu i oczywiście kłamliwie przeinaczonemu obrazowi rozbicia politycznego emigracji.

Utworzenie Rady Politycznej było początkiem pracy nad zjednoczeniem politycznym. Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że z istniejących formacji politycznych ta jest najrealniejsza, najszersza i najpoważniejsza. Pierwsze półrocze jej istnienia wykazało nie tylko, że nie jest to chwilowa figura w kontredansie politycznym, czy „porozumienie Bieleckiego z Ciołkoszem", ale że możliwa jest owocna współpraca tak przeciwstawnych ruchów politycznych jak narodowy i socjalistyczny na prostej i rzetelnej podstawie patriotyzmu, oraz, że na tej podstawie mieszczą się dobrze także niektórzy przywódcy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Już w pierwszych miesiącach istnienia Rady Politycznej zrobiono dalszy krok w postaci wstępnych rozmów nad możliwością zlikwidowania sporu dokoła stosowania konstytucji i osoby Prezydenta. Przed miesiącem z przygotowań tych wyszła oficjalna inicjatywa stronnictw wchodzących w skład Rady Politycznej skierowana do Stronnictwa Pracy i do działaczy Ligi Niepodległości.

Projekt wyłożony przez stronnictwa z Rady Politycznej opierał się na trzech zasadach. Pierwszą z nich było oparcie rządu o stronnictwa polityczne. Wyrażałoby się to w praktyce powołaniem nie mianowanej lecz wyłanianej przez stronnictwa rady i rządu opartego o te same stronnictwa, choć oczywiście niekoniecznie złożonego z przedstawicieli wszystkich stronnictw. Dawałoby to polityce polskiej możność występowania bądź imieniem legalnego rządu, bądź ciała niezależnego pochodzącego z delegacji stronnictw.

Drugą zasadą było przystosowanie wykonywania konstytucji kwietniowej do współczesnych poglądów i potrzeb, gdyż zachowanie praktyki przedwrześniowej byłoby, najłagodniej mówiąc, anachronizmem a pod wielu względami i nonsensem. Nikt nie negował takiej konieczności od roku 1939 aż dopóki pierwsze podmuchy wiosny 1949 nie uderzyły do głowy niektórym pogrobowcom „demokracji kierowanej". W praktyce chodzi o to, by Prezydent nie korzystał sam z tzw. osobistych prerogatyw, jakie przyznaje mu artykuł 13 konstytucji w postaci prawa powołania m. in. premiera i wodza naczelnego. Według tzw. umowy paryskiej uprawnienia te miał Prezydent wykonywać w porozumieniu z premierem. Było to uzgodnione w założeniu, że jest wojna i premier jest premierem rządu jedności narodowej. Z wojny „strzelanej" weszliśmy w wojnę „zimną", która trwa już pięć lat i może jeszcze potrwać. Niesposób zakładać, że zawsze będzie w tych warunkach rząd jedności narodowej. Dlatego uzgadnianie z premierem musi być zastąpione uzgadnianiem z powołanym na stałe nielicznym ciałem reprezentującym przynajmniej główne ruchy polityczne.

Trzecią zasadą jest konieczność uporządkowania sprawy prezydentury. W określonym czasie po zawarciu przez wolną Polskę pokoju Prezydent ma, wedle konstytucji, ustąpić na rzecz wybranego przez zgromadzenie narodowe kandydata. Do tego czasu każdy Prezydent wyznacza swego następcę na wypadek śmierci lub nie-

możności sprawowania urzędu. Autorzy tego przepisu konstytucji mieli na myśli oczywiście warunki wojny „strzelanej“ a nie mogli przewidywać warunków „zimnej“ wojny. Byłoby zjawiskiem karykaturalnym i z duchem prawa niezgodnym, gdyby Prezydent wyznaczony na to stanowisko w wyjątkowych okolicznościach przez swego poprzednika wybranego na określony przeciąg czasu, miał urzędować dożywotnio lub dłużej niż regularnie wybrana głowa państwa. Nie zmieniając więc litery prawa i w zupełnej zgodzie z jego duchem, ustalić trzeba kiedy Prezydent wyznaczony ma ustąpić i z zachowaniem jakiej procedury politycznej wyznaczać następcę. Sprawa ta w tej chwili nabiera tym większej aktualności, że na tle pociągnięć politycznych obecnego Prezydenta powstał kryzys zaufania do jego osoby ze strony poważnej części zorganizowanych ruchów politycznych.

Definitywna odpowiedź na propozycje stronnictw z Rady Politycznej ze strony Stronnictwa Pracy jeszcze nie nastąpiła. Działacze Ligi Niepodległości udzielili swojej odpowiedzi w dniu 8 maja. Odpowiedź tę uznać należy jako negatywną. Uznając w zasadzie potrzebę oparcia rządu na stronnictwach, uważają oni, że stronnictw tych jest sześć, w tym trzy z Rady Politycznej i trzy z Rady Narodowej (Liga, SL Wolność i Stronnictwo Pracy). Gdyby się raz poszło na tę metodę, że każdy, by dorównać Radzie Politycznej, złożonej z trzech stronnictw, zakłada trzy stronnictwa, jak to już zrobił p. Mikołajczyk, doszłoby się w polityce polskiej do przemawiania istotnie „trzy po trzy“.

W sprawie sposobu wykonywania artykułu 13 konstytucji „Liga Niepodległości“ jest przeciwna powołaniu specjalnego ciała i chce ograniczyć się do nieokreślonych i nieobowiązujących konsultacji Prezydenta ze stronnictwami. W kwestii wreszcie uregulowania sprawy prezydentury uchyliła się od dyskusji. Przedstawiciele stronnictw zasiadających w Radzie Politycznej uznali, że w chwili obecnej brak dostatecznej woli do porozumienia ze strony zwolenników obecnego stanu rzeczy i rozmowy zostały przerwane.

Nie oznacza to bynajmniej końca wysiłków stronnictw z Rady Politycznej dla osiągnięcia jedynej praktycznie możliwej pełnej jedności politycznej polskiej w obecnym okresie, przez zlikwidowanie sporu wśród uznających ciągłość prawną państwa.

Perspektywa takiej jedności spędza sen z powiek wielu ludziom. Wspominaliśmy o utworzeniu „Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego“. Pospieszne jego sklecenie budzi wrażenie, jakby komuś zależało na szybkim spaleniu ostatnich mostów. Niepokój bolszewików wyraził się wzmiankowaną wyżej mową Bieruta. Ale i niektóre środowiska „niepodległościowe“ zdradzają duży niepokój. We „Lwowie i Wilnie“ zrobiono wszystko, by wywołać w czytelniku wrażenia bardzo odbiegające od rzeczywistości i dano obraz sytuacji wewnętrznej w barwach tak zniechęcających i karykaturalnych, tak wewnętrznie wrogich jedności, że po prostu tchnących złowieszczym a zarazem prawie komicznym nihilizmem. W tych pismach, które poświęciły całe strony krytycznemu opisowi kongresu Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, próżnoby szukać najmniejszej wzmianki o powziętym jednomyślnie na tym kongresie apelu do władz państwowych i stronnictw o zjednoczenie polityczne.

Wbrew tym wrogim lub niechętnym głosom, sprawa zbudowania jedności znajduje coraz lepsze zrozumienie wśród Polaków, nie tylko w Europie ale i za oceanem, nie tylko wśród wojennego ale i wśród dawnego wychodźstwa. Podczas manifestacji trzeciomajowej w Chicago pod przewodnictwem prezesa Związku Narodowego Polskiego, Rozmarka, uchwalono zasadniczą rezolucję, w której czytamy: „Do polskiej emigracji politycznej apelujemy o zgodę, o zjednoczenie wszystkich sił... Istnienie **solidnego legalnego polskiego przedstawicielstwa narodowego, opartego o stronnictwa polityczne, jak to się dzieje we wszystkich krajach demokratycznych,** uważamy za bezwzględnie konieczne“.

OŚWIADCZENIE PREZYDIUM RADY POLITYCZNEJ

Prezydium Rady Politycznej na posiedzeniu w dniu 11 ub. m. powzięło następującą uchwałę:

„Odwoływanie się do przysięgi żołnierskiej w odezwach i ulotkach rozpowszechnianych przez Główną Komisję Skarbu Narodowego jest próbą nadużycia dobrej wiary ludzi, którzy w czasie wojny ofiarnie stawali z bronią w ręku, a dziś przebywają na obczyźnie jako uchodźcy polityczni.

„Przysięga żołnierska w swojej istocie jest ślubowaniem wierności oraz ofiary trudu, krwi i życia w obronie niepodległości i granic Rzeczypospolitej. Natomiast w żadnym wypadku nie może ona nakładać obowiązku płacenia datków na Skarb Narodowy, które mogą być tylko dobrowolne“.

PROWOKACJA?

Komuniści w Polsce, mimo zawarcia układu z episkopatem, nie zaprzestali prób rozbijania Kościoła. Wysuwa się w dalszym ciągu księży patriotów (sowieckich) na scenę. Przez radio wygłasza kazania jakiś rzekomy ksiądz Mazur. Przed kilku dniami wzywał on wielkim głosem błogosławieństwa Bożego dla opatrznościowego męża... Józefa Stalina.

Nie wchodząc w to, czy jest to rzeczywiście ksiądz i czy mówił to, co było słychać przez radio, stwierdzić należy, że mamy do czynienia z brutalnym dowodem złej woli w stosunku do chwilowego nawet układu z Kościołem. Żaden katolik nie może modlić się o błogosławieństwo dla przywódcy bezbożnego komunizmu potępionego jak najbardziej uroczyście przez Kościół, może co najwyżej modlić się o jego nawrócenie. Inaczej automatycznie podpada pod ekskomunikę w myśl niedawnego dekretu Świętego Officium.

AMERYKA NIE UMIE UJARZMIAĆ

Amerykanie napotkali ostatnio na poważny kłopot polityczny w Japonii. Okupacja tego kraju odbywa się w formach dość łagodnych i okupant stara się jak najbardziej pozyskać sympatie okupowanego, któremu pozostawia wielką swobodę. Jednakże wojna nie rozwiązała żadnego z zasadniczych problemów Japonii, przeciwnie pogłębiła nawet trudności. Kraj jest przeludniony, przemysł nie ma rynków zbytu, kontynent azjatycki odcięty jest całkowicie i na całej długości wybrzeży naprzeciwko archipelagu japońskiego opanowany przez komunistów.

W tych warunkach Sowiety zrobiły nowy manewr w zimnej wojnie i oświadczyły Japończykom, że otworzą Azję dla ich handlu a nawet dadzą im przywileje z chwilą gdy nie będzie na wyspach wojsk amerykańskich i jeżeli Ameryka nie będzie miała baz w Japonii.

Pomimo wszystkiego, co Japończyków spotkało z rąk sowieckich, propozycja ta spotkała się z bardzo żywym przyjęciem w całej Japonii. Prasa zaczęła jawnie domagać się zakończenia okupacji, odbyły się demonstracje i dość powszechne żądania opuszczenia kraju przez Amerykan.

Powtarza się sytuacja jaka jest w Niemczech. Rosja jako państwo z natury imperialistyczne i wyrosłe na podboju, potrafi ujarzmiać. Stany Zjednoczone, wyrosłe na całkiem odmiennej tradycji pokazały, że zdolne są do olbrzymich wysiłków wojskowych i do wygrywania wojen ale z sa-

mej natury swej filozofii życiowej i kultury niezdolne są do ujarzmiania innych. Umią wykorzystywać gospodarczo inne kraje, nie potrafią narzucić im od wewnątrz swej władzy; przeciwnie rozbudzają w nich dążenia patriotyczne i wolnościowe. Może to być kiedyś błogosławieństwem dla świata, w obecnej chwili jest utrudnieniem prowadzenia zimnej wojny.

RZĄD PARLAMENTARNY W TURCJI

Po raz pierwszy w dziejach pojawił się w stolicy państwa azjatyckiego rząd parlamentarny. Wszystko, co w tym zakresie widzieliśmy dotąd w Azji było nieraz nawet bardzo demokratyczne w intencjach i hasłach ale w żadnym z krajów azjatyckich nie doprowadziło do regularnych wolnych wyborów parlamentarnych i opartego na nich rządu.

W Turcji demokratami w zasadzie byli już młodoturcy, którzy dokonali rewolucji i obalenia Abdul Hamida w okresie wojen bałkańskich, rząd ich jednak nie był parlamentarny. Kemal Pasza dokonał rewolucji w duchu europejskiego laicyzmu ale rządził przy pomocy monopartii: Stronnictwa Ludowego. Za zgodą dyktatury ustanowionej przez Atatürka powstała druga partia: Stronnictwo Demokratyczne, mające początkowo charakter dekoracyjny i pozorny w stylu wschodnim. Rozwinęła się ona w prawdziwą partię z chwilą usadowienia się w Azji Mniejszej wpływów amerykańskich. Pamiętać trzeba, że Turcja od lat kilkunastu wydaje większą część swego budżetu na wojsko i trzyma pod bronią milionowe wojsko. Bez pomocy finansowej i materialnej amerykańskiej byłoby to niemożliwe.

Stronnictwo Demokratyczne, nie różniące się niczym pod względem programu polityki zagranicznej od rządzącego dotąd Stronnictwa Ludowego, wysuwa żądania częściowej „reprywatyzacji" życia gospodarczego w tym kraju kapitalizmu państwowego. Stronnictwo to odniosło ostatnio w wyborach niespodziewanie wielkie zwycięstwo, uzyskując bezwzględną większość w parlamencie. Popularny w Europie, dystyngowany prezydent Ismet Inönü ustąpił i wyjeżdża zagranicę, prezydentem został przywódca dotychczasowej opozycji Bayar.

WYŚCIG Z CZASEM

CZY WIELE SIĘ ZMIENIŁO?

Prasa brytyjska skłonna była przypisywać majowym konferencjom londyńskim znaczenie punktu zwrotnego w rozwoju polityki mocarstw zachodnich. Obradom w Lancaster House towarzyszył nastrój wyczekiwania na doniosłe rozstrzygnięcia. Mętny i zawiły komunikat, ogłoszony po zakończeniu obrad Rady Atlantyckiej, wywołał pewne rozczarowanie, na ogół jednak uznano wyniki tych obrad za poważny sukces w dziele wzmacniania jedności i siły obronnej zachodniego świata.

Sukces ten ma charakter dość względny. Treścią narad londyńskich były zagadnienia „zimnej wojny", lecz przy ich rozważaniu nie próbowano nawet zrewidować założeń polityki Zachodu, na których się opiera prowadzenie tej wojny. Założenia zostały te same: bierna obrona wolnej części świata przed penetracją komunizmu, wstrzymywanie naporu sowieckiego w Europie i Azji, przewlekanie stanu zimnej wojny tak długo, jak się da, w nadziei, że kiedyś, w nieokreślonej przyszłości, Zachód ją wygra. Polityce bloku atlantyckiego przyświecać będzie, jak dotychczas, zasada containment; polityka ta ma być nadal polityką defensywy.

Pod jednym wszakże względem postęp był widoczny. Uznano po raz pierwszy, że Rosja Sowiecka może nie poprzestać na podważaniu podstaw gospodarczych i socjalnych nieopanowanej przez komunizm części świata, że może natomiast w dogodnym momencie uciec się dla osiągnięcia swych celów do wojny. Według obliczeń amerykańskich, Rosja będzie całkowicie gotowa do prowadzenia wojny w r. 1952, 1953 lub najdalej w 1954. Ma ona już obecnie przewagę wojskową nad mocarstwami Zachodu, przewaga ta zaś, wobec szybko postępujących zbrojeń sowieckich, będzie rosła.

Ten stan rzeczy wysunął na czoło obrad londyńskich zagadnienie gotowości obronnej Zachodu, nie tylko już jako środka odstraszenia Moskwy od otwartej agresji, lecz jako warunku zapobieżenia klęsce w razie niespodziewanego ataku. Plany obrony Zachodu, sporządzone przez sztaby mocarstw atlantyckich, pozostały dotąd świstkami papieru. Wprowadzenie ich w życie wymaga wystawienia poważnych sił lądowych oraz znacznego zwiększenia tempa i zakresu zbrojeń.

Zbrojenia nowoczesne są jednak rzeczą kosztowną. Europejska część bloku atlantyckiego, po zapoznaniu się z kosztami wykonania planów, zatwierdzonych w Hadze przez atlantycki komitet obrony, uznała, że nie może planów tych wykonać bez narażenia podstaw swej odbudowy gospodarczej. Przed konferencją dwunastu stanął zatem problem: jak pogodzić zadanie zbrojenia Europy zachodniej ze sprawą dalszych postępów w dziedzinie gospodarczej i socjalnej.

ARMATY LUB MASŁO

Dylemat jest w istocie rzeczy trudny. Można albo zaniedbać obronę na rzecz budowy gospodarczej prosperity, albo dać pierwszeństwo zbrojeniom kosztem ograniczenia produkcji dóbr gospodarczo użytecznych. Rosja wybrała to drugie, przeznaczając 20% swego dochodu narodowego na zbrojenia, lecz tam nie ma trudności, istniejących na Zachodzie. Zachodnio-europejska opinia publiczna jest całkowicie nieprzygotowana do poświęceń i wyrzeczeń w imię zwiększenia gotowości obronnej. Jest w tym może pewien brak realizmu, gdyż jedna bomba atomowa może obrócić w gruzy dorobek dziesiątków lat, lecz opinia ta nie otrząsnęła się jeszcze ze wspomnień o surowym życiu czasu wojny i pierwszych lat powojennych. Sprawa jest tym trudniejsza, że w r. 1952 ma ustać dopływ dolarów amerykańskich, związanych z planem Marshalla. Francja prowadzi niezmiernie kosztowną wojnę w Indochinach, pochłaniającą połowę jej budżetu wojskowego i nie stać jej na dodatkowe zbrojenia. Wielka Brytania walczy z trudnościami gospodarczymi, a mniejsze państwa bloku nie wchodzą poważnie w rachubę. Nie bez racji twierdzi się wreszcie, że obniżenie poziomu życia, wyrzeczenie się zdobyczy socjalnych i rezygnacja z polityki pełnego zatrudnienia otworzą ponownie wrota penetracji komunizmu. W ten sposób Europa zachodnia, zabezpieczając się przeciw agresji zewnętrznej, osłabiałaby się od wewnątrz.

Zagadnienie było zbyt poważne na to, aby Rada Atlantycka mogła je rozstrzygnąć. W komunikacie końcowym uznała ona obie sprawy — obrony i postępu gospodarczego — za równorzędne i uczyniła to, co zwykły czynić konferencje międzynarodowe, stojące w obliczu drażliwego problemu: powołała osobną instytucję do jego załatwienia. Instytucją tą będzie komitet zastępców ministrów spraw zagranicznych dwunastu państw, działający pod przewodnictwem osoby, wybranej spośród swych członków i mający swój stały sekretariat. Komitet podlegać będzie Radzie Atlantyckiej, a zadaniem jego ma być realizacja polityki Rady w okresie między jej sesjami oraz ustalanie zagadnień, wymagających decyzji właściwych rządów. Nie jest to zatem instytucja ponadpaństwowa, wyposażona we władzę samodzielną. Zasadę skuteczności działania poświęcono raz jeszcze zasadzie suwerenności. To jednak, czego nie można było osiągnąć drogą przepisów formalnych, zamierza się uzyskać w inny sposób: przewodniczący komitetu będzie czymś więcej, niż primus inter pares; jego urzędowi nadano charakter quasi - kanclerski. Ma on kierować organizacją i jej pracami (shall be responsible for directing the organisation and its work). Ponieważ przewiduje się wyznaczenie na ten urząd Amerykanina o dużym autorytecie osobistym, można przyjąć, że połączenie wpływów osobistych z wpływami rządu Stanów Zjednoczonych zapewni przewodniczącemu pozycję w pewnej mierze nadrzędną.

Takie rozwiązanie sprawy wiąże Stany Zjednoczone silniej, niż dotychczas, ze sprawą obrony Europy zachodniej i zwiększa odpowiedzialność amerykańską za jej przygotowanie obronne. Odpowiednikiem gospodarczym udziału Ameryki w dziedzinie europejskiego pogotowia zbrojnego jest zapowiedź nieurzędowej współpracy Stanów Zjednoczonych i Kanady w Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej. W ten sposób

Ameryka, w przewidywaniu, że z gospodarstw europejskich wiele na zbrojenia wycisnąć się nie da, zobowiązała się pośrednio do dalszego wspomagania Europy zarówno w dziedzinie gospodarczej jak wojskowej. Obietnica ta, nieograniczona w czasie, a więc idąca poza r. 1952, jest największą zdobyczą narad w Lancaster House. Można jednak wątpić, czy Kongres, stojący wobec deficytowego budżetu i konieczności zwiększenia wydatków na własne zbrojenia Stanów, przyjmie zobowiązania p. Achesona bez szemrania.

JEDEN SYSTEM ZAMIAST DWUNASTU

Komitetowi zastępców zlecono inne jeszcze, niemniej poważne, zadanie: ma on zapobiec marnotrawstwu sił i środków w dziedzinie zbrojeń. Celem zasadniczym jest zorganizowanie zbrojnego pogotowia nie pojedynczych państw, związanych paktem, lecz rejonu atlantyckiego jako całości. Zasada taka prowadzi do specjalizacji w zakresie zbrojeń i podziału funkcji obronnych, tzn. do częściowego rozbrojenia uczestników paktu. Takie rozwiązanie, w zasadzie rozsądne i ekonomiczne, wymaga atmosfery wzajemnego zaufania. Jeżeli bowiem Wielka Brytania miałaby powiększyć wyłącznie swe lotnictwo taktyczne, a Francja organizować siły lądowe, to żadne z tych państw oddzielnie nie mogłoby stawiać oporu napastnikowi, atakującemu wszystkimi rodzajami broni. Co więcej, koncepcja obrony bloku atlantyckiego jako całości może pociągnąć za sobą konieczność koncentracji sił jednego z uczestników na obcym terytorium z poświęceniem obrony własnych granic, a nagłe opanowanie przez wroga jednego państwa może pozbawić inne istotnego elementu we wspólnym systemie obronnym, np. sił lądowych.

Historia rozwoju stosunków wewnątrz bloku atlantyckiego nie świadczy o daleko posuniętym zaufaniu wzajemnym, zamierzenia zaś niektórych uczestników paktu są raczej dowodem nieufności. Plany wojenne powierzają ochronę dróg morskich flocie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, tymczasem Francja, według ostatnich wiadomości, zamierza wybudować przynajmniej jeden lotniskowiec, Holandia zaś powiększa swoją flotę wojenną w celu ochrony swych linii łączności ze sferą interesów zamorskich.

Przeprowadzenie zasady specjalizacji i podziału funkcji byłoby łatwiejsze, gdyby istniało naczelne dowództwo sił zbrojnych bloku atlantyckiego. Konferencja londyńska nie uznała jednak za wskazane powołać naczelnego wodza, poprzestając na cywilnym przewodniczącym komitetu zastępców. Komitet — to druga, obok pomocy amerykańskiej, zdobycz konferencji, raczej skromna, lecz bądź co bądź wzmacniająca chwiejące się zręby paktu atlantyckiego.

Niewiele zostało z rozgłośnie projektowanej przez p. Bidault Wysokiej Rady Atlantyckiej, mającej być zawiązkiem jedności politycznej, gospodarczej i wojskowej zachodniego świata. Cieplarniana roślinka, wychodowana pieczołowicie przez p. Servan-Schreibera w „Le Monde", zwiędła niepostrzeżenie w lodowatej atmosferze Londynu.

WĘGIEL I STAL

Wydarzeniem jednak być może ważniejszym od suchego tekstu komunikatu dwunastu był wysunięty przez francuskiego ministra spraw zagranicznych, p. Schumanna, projekt połączenia przemysłów węglowego i stalowego Niemiec i Francji. Projekt ten, ogłoszony z właściwym Francuzom poczuciem efektu teatralnego, wywołał wielkie poruszenie w kancelariach dyplomatycznych i prasie światowej. Przewiduje on zawarcie przez państwa uczestniczące umowy, ustanawiającej wspólną władzę kierowniczą i nadzorczą nad przemysłami węglowym i stalowym tych państw. Władza ta będzie się składała z osób niezależnych, wyznaczonych przez właściwe rządy w jednakowej liczbie i działających pod kierownictwem wybranego przez siebie przewodniczącego. Decyzje tego kolegium będą miały moc obowiązującą w Niemczech i Francji. Projekt p. Schumanna wkracza zatem odważnie w dziedzinę suwerenności państwowej, nie cofając się przed jej ograniczeniem we wspólnym interesie.

Zadaniem wspólnego zarządu ma być modernizacja obu przemysłów, zwiększenie ich wydajności, regulowanie przydziału surowców oraz rozwój produkcji i eksportu. Cła przywozowe na żelazo i stal zostaną w obrocie wzajemnym zniesione, a koszty transportu zrównane. W obrębie rejonu obowiązywać będą jednakowe warunki pracy. Każde państwo, wytwarzające węgiel i żelazo, może wziąć udział w projektowanej organizacji, jeżeli przyjmie powyższe zasady.

Projekt nie jest pomysłem nowym. Wysuwano go już w r. 1948 zarówno ze strony niemieckiej jak francuskiej, lecz zasługą p Schumanna jest przeniesienie go ze sfery pomysłów w sferę polityki praktycznej. Ocena projektu jest trudna, skoro nawet jego zasady nie są dokładnie znane, komplikacje zaś polityczne i gospodarcze, jakie może za sobą pociągnąć, nie są jeszcze dość uchwytne.

Przemysły węglowy i stalowy Niemiec i Francji są ściśle od siebie uzależnione. Francji potrzebny jest węgiel z Ruhry, Niemcom zaś ruda z Lotaryngii; obok jednak wspólności interesów istnieją wyraźne ich sprzeczności. Francja jest niewątpliwie partnerem słabszym od Niemiec. Wytwarza ona ponad 50 milionów ton węgla i ponad 9 milionów ton stali, podczas gdy produkcja węgla w Niemczech zachodnich przekroczyła już w r. ub. 100 milionów ton, produkcja zaś stali rozsadza ustaloną dla niej przez władze okupacyjne najwyższą granicę 11.100.000 ton. Wydajność robotnika niemieckiego jest większa, wynosi bowiem 1.1 ton węgla, podczas gdy robotnik francuski wydobywa tylko 0.75 ton, płace zaś w Niemczech są niższe niż we Francji. Stąd przemysł niemiecki ma większą zdolność konkurencyjną od francuskiego i rywalizacja z nim byłaby groźna dla Francji. Projekt p. Schumanna pozwala na ujęcie w karby tej rywalizacji.

Z drugiej strony, na rynkach światowych występują już pierwsze objawy nadmiaru węgla i stali. Fakt ten musiałby w warunkach wolnej konkurencji prowadzić do spadku cen, a co za tym idzie do likwidacji przedsiębiorstw gospodarczo nieopłacalnych. Jeżeliby projektowana organizacja miała się kierować w swej działalności motywami gospodarczymi, dążąc do rozszerzenia produkcji i eksportu, to ofiarą takiej polityki musiałby paść przede wszystkim przemysł francuski. Nie trzeba jednak dowodzić, że rząd francuski, który by się przyglądał biernie zamykaniu kopalń i hut we Francji, nie długo mógłby pozostawać u władzy.

Nie jest zatem jasne, jak sobie p. Monnet, autor techniczny projektu, przedstawia ochronę przemysłu francuskiego w warunkach nadprodukcji. Sprawa byłaby prostsza, gdyby przyjąć, że projektowany „pool" będzie po prostu kartelem międzynarodowym, ograniczającym produkcję odpowiednio do chłonności rynku i utrzymującym ceny na wysokim poziomie. P. Schumann jednak temu zaprzecza.

Polityczne konsekwencje projektu są również niejasne. W niektórych kołach francuskich wegetuje nadal teoria zorganizowania Europy jako „trzeciej siły", neutralnej w stosunku do konfliktu między Wschodem i Zachodem. P. Lippmann w „New York Herald Tribune" wyraża przeświadczenie, że ze spółki niemiecko - francuskiej wyrośnie „trzecia siła", uniezależniona zarówno od Ameryki jak i Rosji. Parę dni temu zawtórował mu p. Adenauer w Kolonii. Te fantastyczne pomysły, dążące do stworzenia

na zachodzie Europy próżni, w którą mógłby się wlać bez trudu imperializm sowiecki, kwalifikowałyby plan p. Schumanna jako politycznie szkodliwy. Rzecz wyglądałaby inaczej, gdyby autorom projektu przyświecała myśl gospodarczego i wojskowego wzmocnienia bloku antysowieckiego. Unia gospodarcza Ruhry, Nadrenii, Saary i Lotaryngii, uzupełniona udziałem przemysłu Belgii i Luksemburga, a może i brytyjskiego, byłaby poważnym czynnikiem, hamującym militaryzm i nacjonalizm niemiecki, wiążącym Niemcy z Zachodem, a jednocześnie wzmacniającym potencjał obronny państw atlantyckich. Zachodnioeuropejskie centrum węglowo-stalowe, poddane jednemu kierownictwu, produkowałoby wówczas 415.000.000 ton węgla i 45.000.000 ton stali, znacznie więcej niż Rosja Sowiecka. Problem zbrojeń stałby się prostszy.

Projekt p. Schumanna uzyskał gorące poparcie Stanów Zjednoczonych, wywołał zadowolenie, może przedwczesne, w Niemczech i został chłodno przyjęty przez Londyn. Rząd brytyjski niechętnie traktuje projekty, wciągające Wielką Brytanię w orbitę jedności europejskiej, projekt zaś francuski mógłby w dodatku podważyć politykę nacjonalizacji, podwójnych cen i pełnego zatrudnienia, a nadto wystawić na niebezpieczeństwo poziom płac. Z drugiej jednak strony, pozostanie poza obrębem fuzji naraziłoby Wielką Brytanię na ostrą konkurencję przemysłu kontynentalnego, której zapewne nie mogłaby wytrzymać. Można zatem założyć, że rząd brytyjski, jeżeli mu się nie uda projektu utrącić, będzie zmuszony wziąć w nim, choćby ograniczony, udział.

GRA, KTÓREJ WYNIKU NIE MOŻNA PRZEWIDZIEĆ

Nie tylko jednak projekt p. Schumanna uprzytomnił światu raz jeszcze ciężar problemu niemieckiego; konferencja trzech ministrów spraw zagranicznych, poprzedzająca Radę Atlantycką, była w znacznej części poświęcona zagadnieniu Niemiec. Deklaracja, jaką wydano po zakończeniu tej konferencji, zmierza do dalszego rozluźnienia kontroli mocarstw okupacyjnych nad rządem p. Adenauera. Założeniem deklaracji jest „ponowne wprowadzenie Niemiec do wspólnoty wolnych narodów Europy". Zawarcie odrębnego pokoju z państwem zachodnio- niemieckim, a co za tym idzie, zniesienie okupacji, uznano wprawdzie za niemożliwe, niemniej jednak statut okupacyjny zostanie zrewidowany, Niemcy zaś mają odzyskać suwerenność w stopniu, dającym się pogodzić z podstawami reżimu okupacyjnego. Oznacza to przede wszystkim obietnicę udzielenia rządowi niemieckiemu prawa do kierowania, przynajmniej w ograniczonym zakresie, swoją polityką zagraniczną oraz do posiadania własnych reprezentacji dyplomatycznych. Deklaracja pomija milczeniem rozgłośnie dyskutowaną sprawę uzbrojenia Niemiec. Sprawa stworzenia wojska niemieckiego dojrzewa i jest już, być może, przesądzona, brak broni i sprzętu wojennego czyni ją jednak na pewien czas nieaktualną.

Niemal jednocześnie z ogłoszeniem deklaracji trzech zaszły dwa wydarzenia, rzucające ostre światło na politykę sowiecką w stosunku do Niemiec. 4 maja urzędowy komunikat sowiecki oświadczył, że repatriacja niemieckich jeńców wojennych została ukończona. Oświadczenie to wywołało wielkie poruszenie w Niemczech, gdzie obliczano na podstawie statystyk sowieckich, że j e s z c z e 1.500.000 jeńców pozostaje w Rosji. Cyfra ta jest zapewne przesadna, lecz jest rzeczą prawdopodobną, że jeszcze wiele tysięcy jeńców niemieckich pracuje w tajgach syberyjskich; ci już nie wrócą.

W parę dni później Moskwa ogłosiła, że zmniejsza o połowę przypadającą od strefy wschodniej Niemiec sumę odszkodowań na rzecz Rosji. Zamiast 6.342 miliony dolarów Niemcy wschodnie zapłacą 3.171 milionów dolarów, przy czym spłata tej sumy została rozłożona na lat piętnaście. Kwoty te otrzymano przez odjęcie od cyfry 10 miliardów dolarów spłat, już dokonanych przez strefę wschodnią od r. 1945, obliczonych na 3.658 milionów dolarów. Należy przypomnieć, że cyfrę 10 miliardów dolarów wysunął niegdyś p. Mołotow tytułem pretensji sowieckich do odszkodowań ze strony całych Niemiec. Cyfrę tę sojusznicy zachodni uznali za fantastyczną. Obecnie Moskwa obciążyła nią swoją strefę okupacji, godząc się łaskawie na stosunkowo niewielką redukcję. Ten dowód dobrej woli sowieckiej był zapewne dla Niemców wschodnich ciosem obucha w głowę.

Jednocześnie zatem z idącymi coraz dalej koncesjami na rzecz Niemiec ze strony mocarstw zachodnich Moskwa nie zawahała się uderzyć dwa razy pięścią w stół. Prasa amerykańska dopatruje się w tym prymitywnych błędów ze strony polityki sowieckiej. Politykę sowiecką nieraz się demonizuje, przypisując jej makiawelizm, którego w niej nie ma, lecz w danym przypadku nie chodzi o błąd. Posunięcia sowieckie są konsekwentnym wyrazem taktyki, przyjętej przez Moskwę w stosunku do Niemiec. Jest to taktyka terroru, dyktowana poczuciem przewagi wojskowej. Polega ona na brutalnym demonstrowaniu własnej siły i wykazywaniu słabości Zachodu. Niemcy szczerze, być może, nienawidzą Rosji, lecz twardy kułak sowiecki nie pozwala im wątpić, kto jest silniejszy, do kogo należeć będzie zwycięstwo i z kim wobec tego trzeba szukać sposobów współżycia.

Ustępstwa, czynione przez mocarstwa zachodnie, nie robią na Niemcach wrażenia; uważane są za rzecz należną i naturalną, co więcej, uznaje się za spóźnione i niedostateczne. Każde natomiast, nawet drobne, ustępstwo sowieckie wyrasta w atmosferze terroru do rozmiarów wielkodusznego gestu. Efekt psychologiczny jest dziesięciokrotnie większy, a trzeba pamiętać, że Moskwa nie wygrała jeszcze swoich kart i że ma w zanadrzu prawdziwe koncesje w postaci otwarcia dla przemysłu niemieckiego rynków wschodnich, wycofania wojsk okupacyjnych i traktatu pokoju. Koncesje te są monopolem sowieckim; mocarstwa zachodnie mają do nich drogę odciętą.

Gra o Niemcy nie jest jeszcze rozstrzygnięta, a o jej ostatecznym wyniku zadecyduje po prostu stosunek sił. Opinia wojskowych kół amerykańskich, że od r. 1952 świat wejdzie w okres krytyczny, jest groźnym ostrzeżeniem dla Zachodu. Rosja będzie w tym czasie gotowa do wojny. Niewiele świadczy o tym, aby Zachód był również gotowy. Niemcy pójdą wówczas z tym, kto się okaże na początku silniejszym.

GLOSSATOR

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 7)

POSTĘP PRZEZ DUŻE P

Bibliopolis, maj 50

Drogi Czytelniku,

Kiedy czyta się dzieła Marksa, niesposób oprzeć się wrażeniu, że cała jego doktryna opiera się na założonej z góry wierze w Postęp. Wiara ta w jego epoce była tak powszechna, że niemal nie wymagała już dowodzenia. Człowiek rozwija się coraz bardziej i urządzenia ludzkie są coraz doskonalsze. Postęp jest dalszym ciągiem ewolucji, która od protoplazmy doprowadziła aż do dziewiętnastowiecznego intelektualisty. W Postęp wierzył i Darwin i zwykły bourgeois i utopijny rewolucjonista. Ta wiara zasadniczo różniła epokę nowożytną od średniowiecza i starożytności a także od cywilizacji prymitywnych. W tamtych wszystkich był mit złotego wieku, przekonanie, że dawniej było lepiej, że świat się psuje. Gdzieś w początkach epoki nowożytnej złoty wiek z przeszłości przesunięto w przyszłość. Prekursorami wiary w Postęp byli twórcy utopii, z autorem prawdziwej „Utopii", Moorem na czele.

Urodziłem się jeszcze w epoce wiary w Postęp. Jednym z moich najdawniejszych wspomnień intelektualnych jest rozmowa z matką — musiała zrobić na mnie wrażenie, skoro utkwiła mi w pamięci na całe życie. Pytałem matkę, czym właściwie człowiek różni się od zwierzęcia. „U zwierząt nie ma postępu" odpowiedziała matka. Przyjąłem to jako podstawę rozumowania na długie lata. Kiedy doszedłem do wieku, w którym kwestionuje się wszystko, zaprzeczyłem istnienia postępu w ogóle. Przypominam sobie długą rozmowę z kolegą, świeżo wyświęconym księdzem (mieliśmy obaj po dwadzieścia parę lat), czy istnieje Postęp. Ksiądz stanowczo był zdania, że nie istnieje. Ja miałem wątpliwości, dopuszczając istnienie czegoś w rodzaju postępu intelektualnego, objawiającego się w spisanych tworach ducha ludzkiego, których następne pokolenia nie mogą już pominąć. W reakcji przeciw idei postępu utwierdził mnie „The Everlasting Man" Chestertona. Ale zawsze czułem, że coś jest w tym postępie tylko nie to, co się mówi. Ale co?

Że postęp techniczny ma wartość względną, to już wszyscy wiemy. Rozwój środków komunikacji od czółna do samolotu można jeszcze było uważać za dobro bezwzględne. Rozwój produkcji od kołowrotka do koncernu tkalni już budził różne oceny. Rozwój broni od procy do bomby atomowej nikogo nie może napawać optymizmem. Rozpowszechnienie oświaty, z którym tyle wiązano nadziei, rozczarowało nawet takich intelektualistów jak Toynbee czy Huxley. Czy człowiek, który dwa razy dziennie czyta brukową gazetę jest istotnie mądrzejszy od nie umiejącego czytać ale umiejącego wnioskować samodzielnie chłopa?

Z drugiej strony są rzeczy, które uznajemy wszyscy za postęp. Na przykład przejście z systemu wsi niewolnej na gospodarkę czynszową i samorząd wiejski wydaje nam się stanowczo krokiem naprzód a zmiana czynszów na pańszczyznę, skup sołectw, przywiązanie chłopa do ziemi w parę wieków później wydaje się niewątpliwie krokiem wstecz. Więc może postęp społeczny jest tym faktem niewątpliwym? Ale co to jest postęp społeczny: zwiększenie wolności? Zniesienie cechów średniowiecznych i otwarcie możliwości nieskrępowanego rozwoju kapitalizmu było niewątpliwie zwiększeniem wolności. Czy było postępem o wartości bezwzględnej? Większość współczesnych historyków temu przeczy a np. Belloc uważa to za źródło wszystkich nieszczęść późniejszych i obecnych. Zwiększenie swobody seksualnej także nie budzi już dziś entuzjazmu, a owoce jej są oceniane ujemnie nawet przez komunistów. Może wzrost sprawiedliwości społecznej? Ale co to jest sprawiedliwość społeczna? Czy rzeź wyzyskiwaczy jest sprawiedliwością społeczną, a jeśli tak, czy przynosi nie kwestionowane owoce? Czy wywłaszczenie różnej wielkości drobnych gospodarstw i założenie na ich miejscu kołchozu jest aktem sprawiedliwości społecznej? Jaką miarą mierzyć sprawiedliwość społeczną. Może zwiększenie dobrobytu jest Postępem? Czy zwiększanie się dobrobytu Rzymu za cesarstwa było Postępem? A zmniejszanie się dobrobytu upadającego Rzymu przy równoczesnym rozszerzaniu się chrześcijaństwa czy było bezwzględnym cofaniem się? Rozwój ogólny kultury? Jakiej kultury? Ilościowy w postaci „umasowienia" czy jakościowy, elitarny? Wszystko tu jest niepewne ale wszystko ślizga się dokoła czegoś co powinno być miarą, dokoła jakiegoś naszego nieokreślonego przeświadczenia, które nam mówi, że jest bezwzględny postęp lub bezwzględne cofanie się człowieka.

Weź przykład najprostszy społecznie, bo najmniejszy i każdemu znany: rodzina. Porównaj rodzinę starego typu, zwartą, powiedzmy dziesięcioosobową, patriarchalną, solidarną, prymitywnie w naszym pojęciu żyjącą, z rodziną nowego typu, powiedzmy trzyosobową, swobodną, nieskrępowaną, używającą setek nieznanych dawniej udogodnień. Postęp w dziedzinie dobrobytu ludzi jest niewątpliwy. Postęp w dziedzinie wykształcenia, kultury ogólnej, techniki, niewątpliwy. W dziedzinie wolności osobistej najszerzej pojętej, także wolności od przesądów, autorytetów, obowiązków wzajemnych, trosk prymitywnych, wysiłku fizycznego, zagrożenia przez choroby, zbójców, głód — postęp olbrzymi. Ale czy to wszystko razem jest Postęp? Procent ludności w domach wariatów i w więzieniach jest bez porownania większy niż był dawniej. Nad rozkładem rodziny ubolewają nie tylko pisarze katoliccy i nie tylko moraliści. Mechanicznie rekonstruować rodzinę usiłują nie tylko faszyści ale i bolszewicy.

Ateistyczni socjologowie zaczynają także widzieć źródło rozprzężenia społecznego i grożącego upadkiem cywilizacji rozwoju totalizmu w upadku rodziny. Twierdzą oni, że istnieje, zgodne z naturą człowieka optimum ilościowe grupy ludzkiej. Grupa współpracy fizycznej może liczyć do trzydziestu ludzi, grupa współżycia psychicznego i współpracy umysłowej winna mieć od pięciu do dziesięciu członków. Podstawową komórką społeczeństwa musi więc być grupa stałej współpracy i współżycia pięciu do dziesięciu osób. Tylko w takiej grupie człowiek się może wychować. Aby się mógł wychować grupa jego nie może być zbyt jednorodna, nie może się składać, dajmy na to z dorosłych mężczyzn jednego typu psychofizycznego. Potrzebna jest grupa, w której współżyje kilka osób różnego wieku i płci, somatotonicy i wicerotonicy z cerebrotonikami, żeby używać najmodniejszego podziału na trzy zasadnicze typy ludzkie wedle nomenklatury Sheldona. Człowiekowi do życia, rozwoju i działalności nie wystarcza samo rozumowanie, potrzebuje on jeszcze pewnej atmosfery, stosunku osobistego, obcowania...

Co więc zanikło w rodzinie, co stanowi o tym, że mimo postępu dobrobytu, wiedzy, bezpieczeństwa, kultury, swobody, nastąpiło, sądząc po owocach, groźne i zasadnicze uwstecznienie życia podstawowej komórki współżycia ludzkiego w świecie naszej cywilizacji? Czujemy, że jesteśmy w pobliżu ukrytego klucza do zagadnienia Postępu i nie możemy go uchwycić. Czy mamy wobec tego uznać, że Postępu nie ma w ogóle, że każdy postęp coś psuje i jedynym lekarstwem jest wracać do tego co było, rezygnować z podniesienia choćby trochę wyżej rzeczywistego poziomu życia ludzkiego?

W naszej epoce nie ma już autorów nowych utopii, z wiarą malujących przed nami obrazy przyszłego szczęśliwego społeczeństwa. Wręcz przeciwnie: cechą twórczości naszej epoki w zakresie wizjonerstwa społecznego jest gryząca i beznadziejna satyra. Ostatnim jej przejawem jest przedśmiertny koszmar George'a Orwella: „Rok 1984", będący jakby zaostrzeniem i ukonkretnieniem „Nowego wspaniałego świata" Aldousa Huxleya, z tą różnicą, że Orwell już nie spodziewa się nawet postępu dobrobytu materialnego. Wiarę w postęp zastąpiła wiara w nieuchronną „obrzydliwość spustoszenia". Rozwój techniki, wiedzy, oświaty, organizacji prowadzić się zdaje prosto do nieznanego dotąd żadnej epoce tak pełnego niewolnictwa duchowego i odczłowiecze-

nia człowieka. W świecie Orwella istnieje tylko jeden kult uprawiany systematycznie i obowiązkowo, stanowiący podstawę wychowania i rządzenia: wyraża się on najdobitniej w „dwuminutowej nienawiści"...

Stój! Mam, czego szukałem cały czas. Jest Postęp. Znajduję w „Ends and Means" Huxleya zanotowane słowa dra R. R. Marreta: „Prawdziwym postępem jest postęp w miłosierdziu (charity), wszelkie inne postępy są względem niego drugorzędne".

Teraz wszystko zaczyna mi się układać zwolna z bezładnej gry barwnych plam w określony deseń (a to polskie słowo jest przekręconym francuskim dessein, co znaczy nie tylko rysunek ale przede wszystkim plan). Już wiem, dlaczego postępem było oczynszowanie kmieci, a nie jest postępem kolektywizacja wsi, dlaczego jest postępem dźwig w stosunku do pleców ludzkich a nie jest postępem bomba atomowa w stosunku do katapulty. Przede wszystkim zaś widzę jasno na czym polega rozkład rodziny i wychowania i dlaczego owoce jego są takie a nie inne.

W końcu okazuje się, że matka miała trochę racji. Czym się różni człowiek od zwierzęcia? Przede wszystkim tym, że zwierzę nie ma pojęcia „caritas". Zwierzę jest niemniej, a może więcej uczuciowe od człowieka, zdolne jest do tęsknoty i wierności, do namiętności i gniewu, ale nie tej najwyższej cnoty, która nie w uczuciu tkwi ale w rozumie i wolnej woli, do miłości-miłosierdzia, do caritas a nie amor. Bywają i psie amory ale miarą postępu ludzkości jest caritas.

Zapamiętaj sobie, zapisz dużymi literami: PRAWDZIWYM POSTĘPEM JEST POSTĘP W MIŁOSIERDZIU.

HANNA DEMIDECKA-DEMIDOWICZ

KOBIETY Z „WALKI"

GDYM czytała przed wojną głośną wówczas powieść „Voyage au bout de la nuit" Celine'a wydawało mi się, że ujrzałam dno nędzy ludzkiej i upadku, że tego rodzaju książki odbierają złudzenia. Niestety jednak musiałam przebrnąć piekło, wobec którego wspomniana książka wydaje się niewinną idyllą.

Trudno jest opowiadać tzw. „wolnościowym", jak się mówiło w zamknięciu, ludziom o obozie, gdyż najbarwniejszy nawet opis nie odtworzy obrazu życia i klimatu Ravensbrücku czy innego karnego miejsca przymusowej pracy. Jeśli wspomnimy stosunek Niemców do własnych rekrutów opisywany u Remarque'a w jego „Na zachodzie bez zmian", możemy sobie łatwiej wyobrazić odnoszenie się do znienawidzonego, bezbronnego i pogardzanego — häftlinga".

Nie będę tu odtwarzała warunków egzystencji a raczej wegetacji w miejscu zesłania. Mam nawet pewne wątpliwości czy zbyt wielu ludzi temat ten wzrusza. Po takiej książce jak wspomnienia o Kołymie blednie widmo, zdawałoby się, Oświęcimia czy Ravensbrücku, zwłaszcza dla tych, co tam nie byli. Nie można zresztą zbyt długo potrząsać kajdanami.

Nie można właściwie pobytu w obozie nazwać „życiem" raczej jakąś jego koszmarną karykaturą — niby odbicie w krzywym zwierciadle — domem wariatów, w którym obłąkani rządzą zdrowymi pozwalając perfidnie i świadomie wyzwalać się najniższym instynktom słabych czy zdecydowanie podłych, gdzie efemeryczną karierę stara się cudzym kosztem i krzywdą zrobić każda nikczemna kreatura, z zimnym wyrachowaniem spychając innych w dół.

Dziwne wydaje się może, że niektóre więźniarki, zupełnie poprawnie i przykładnie nawet znoszące więzienie, załamywały się nieraz w obozie i odwrotnie. Najczęściej jednak kto „nie dawał się" od początku umiał zachować godną postawę do końca... Muszę bezstronnie przyznać, że Polki z wszystkich warstw i ugrupowań, nie tylko polityczne, ale nawet prostaci kryminalne, umiały zachowywać się wzorowo czy nawet bohatersko nie tylko w beznadziejnej monotonii dnia codziennego, ale przede wszystkim w godzinę śmierci. Każdej takiej śmierci towarzyszył końcowy okrzyk: „Niech żyje Polska!".

Chciałabym jednak przede wszystkim powiedzieć o tych, co siedziały za „Walkę".

Stwierdzić muszę, że nie zdarzyło się w Warszawie, by któraś z naszych kobiet świadomie czy nieświadomie „wsypała", dzięki czemu nie „pruło się" dalej i nie powiększał się zasięg aresztowanych. Kobiety nasze były rzeczywiście na najwyższym poziomie. Nie mówię tylko o religijności, bo w obliczu wiecznie grożącej śmierci modlą się wszyscy. Ale tu chodzi o co innego, a mianowicie: o co się tu kobiety modliły i jaką postawę przyjmowały wobec cierpienia. Czy brały ją na siebie dobrowolnie i z pokorą, jedne jako karę za grzechy własne czy cudze, inne z całą świadomością wyrzekając się najbłahszej nawet radości na intencję wielkiej sprawy. Pewnie, że instynkt samozachowawczy nakazywał każdemu „organizować" co się dało i nie można się dziwić, że w tak ciężkich warunkach każdy myślał przede wszystkim o sobie, ale chodziło o to ile tym „zdobytym na lewo" w polu prowiantem obdzielało się niewychodzące poza mury koleżanki, jak również, czy ułatwiało się nie mającym dostępu do źródeł nowym häftlingom zmianę odzieży przez więźniarki pracujące w tzw. „kanierze", czyli rozdzielni ubrania.

Warunkiem przynależności do prawdziwej elity obozowej, było nie mówienie o jedzeniu. Rzecz nad wyraz trudna dla ludzi, których kiszki skręcają się z głodu, a we dnie i w nocy prześladują majaki głodowe w postaci choćby dodatkowej porcji chleba. By oderwać nas od smutnej rzeczywistości zawsze czynna, pomysłowa p. M. organizowała gdzieś w kącie sypialni czy na górnych łóżkach a nawet czasem w jadalni (w rzadkich okresach, gdy blokowe patrzyły przez palce) koncerty czy pogadanki. Dzięki niej udało się nam np. usłyszeć prelekcję p. Pannenkowej o Sokratesie, czy niejednokrotnie odpłynąć myślą ku wolnemu światu w rytmicznych słowach poezji. A ile tam powstało znakomitych wierszy!

Zaradność, pomysłowość i wysokie poczucie artystyczne okazały więźniarki np. w inscenizacji „Szopki", recytacji wiersza, w melodiach i dekoracji kłosami zboża wyciągniętymi ze „słomy", tj. warsztatu, gdzie robiono buty na front wschodni. Ciekawie wymodelowani Trzej Królowie przystrojeni byli w prawdziwe sobolowe i gronostajowe płaszcze, przypominali swą świetnością teatr z prawdziwego zdarzenia. Jasne jest chyba, że przybranie ich w te wspaniałe futerka, przeznaczone na anoraxy, tj. ciepłe kostiumy dla pilotów, miało cenę ludzkiego życia, ale przedsiębiorcze i pomysłowe Polki zawsze i wszędzie ryzykowały.

Jak mało było jednak tych momentów oderwania się od ponurej rzeczywistości, której niestety żywym teatrem był obóz! Począwszy od wiosny 1941 r., gdy tajemnicze transporty w nieznane zaczęły być zjawiskiem codziennym, rozpoczęła się prawdziwa kośba śmierci. Likwidowano systematycznie.

Odeszła wówczas katowana w Gestapo, dziewiętnastoletnia Halinka

Wądołowska. Za nią przyjaciółka jej Marianka, jedyna, której nie wiadomo dlaczego, po obwieszczeniu na porannym apelu wyroku, pozwolono cały dzień spędzić na bloku. Korowody koleżanek przekradały się do niej, by zamienić z nią jeszcze parę słów i przynieść nieużyteczny już upominek. Bohaterska ta dziewczyna uśmiechała się łagodnie, choć w oczach jej czaiła się groza i powaga śmierci. Żegnała się z nami dodając otuchy. Przekazywała wiarę w powstanie Polski wielkiej i silnej, starając się zbagatelizować okrutną prawdę, że z zapadnięciem wieczoru nie będzie jej już wśród żywych. Szlachetna i czysta, śliczna Stasia Woźniak, gdy ją Niemcy, zgodnie ze zwyczajem (pozorując wyprowadzenie na rozstrzelanie transportem na robotę), uraczyli racją żywnościową, rzuciła im ją z pogardą w twarz. Kto nie widział z bliska tego ofiarnego życia, pełnego godności i odwagi postawy wobec nieubłaganej śmierci, ten nie wie wszystkiego o polskiej kobiecie.

Jedną z najtragiczniejszych postaci była wspaniała, wykształcona i mądra Wanda Szczęsna. Zaaresztowana była 4 grudnia 1940 r. na Czerniakowie w drukarni „Walki", gdzie po raz pierwszy za okupacji, gdy przyszło Gestapo, broniono się jak w twierdzy, waląc w Niemców granatami. W oczach jej zabito męża i jego siostrę. Wywieziona w poważnym stanie do Gestapo, tam niejednokrotnie podczas przesłuchiwań bita, trzymana przez miesiąc w podziemiach na Szucha, traci nienarodzone dziecko. Następnie przetransportowana na Pawiak przebywa miesiąc w izolacji. Wywieziona 22 września 1941 r. do Ravensbrücku zastaje tam swą matkę. W międzyczasie dowiaduje się o śmierci dwóch braci w obozach. Kobieta ta, nigdy w najtragiczniejszych momentach nie roni ani jednej łzy. Matka Wandy, Przygodzka, czarująca, inteligentna pani, cierpiała kiedyś na zaburzenia nerwowe. Z pierwszym transportem nienormalnych i wariatów zostaje wywieziona z Ravensbrücku na śmierć w komorze gazowej.

Po przeszło dwóch latach obozu, 18 marca 1943 r. Wanda Szczęsna została rozstrzelana w Ravensbrücku. Do późnego wieczora ostatniego dnia ciężko pracuje w „leśnej" kolumnie przy karczowaniu drzew w świadomości zbliżającej się śmierci. Wraca po apelu wieczornym do domu, by u bramy wejściowej dowiedzieć się, że nie wolno jej już wejść do bloku.

Jedyny i niespotykany w dziejach obozu rodzaj demonstracji (który przerażone dozorczynie poczytywały za bunt), gdy tysiące kobiet na wieść o tragicznym końcu Wandy błyskawicznie rzuciły się do bramy, by pożegnać spojrzeniem wychodzącą na rozstrzelanie. Prawa, koleżeńska i sprawiedliwa, odeszła z uśmiechem dumy i wielkości.

Wśród wspierających ofiarnie inne współtowarzyszki niedoli przodowała chuda jak szkielet, słaba i wątła, wiecznie cierpiąca na ataki wątrobiane, o nieugiętej woli i sile charakteru Zofia Kownacka. Wybitnie inteligentna, o szerokich zainteresowaniach, ogromnej odwadze cywilnej i bardzo głębokim stosunku do życia, a przede wszystkim niesłychanym poczuciu obowiązku i odpowiedzialności. Nigdy nie myśląca o sobie do granic zupełnej zatraty poczucia instynktu samozachowawczego, który, jak wiadomo, jest nieodzownym warunkiem przetrwania. Rozwija się on u każdego w tym prymitywie drapieżnej walki o byt.

Pozwolę sobie jednak cofnąć się nieco wstecz, by móc skreślić wyraźniej sylwetkę tej wyjątkowej kobiety. Zofię Kownacką z domu Chełchowską poznałam w 1926 r. jako młodą mężatkę. Urodzona i wychowana w majątku Chożów ziemi wileńskiej, uczęszczała w latach pierwszej wojny światowej do szkół w Wilnie i Mińsku Litewskim. Po powrocie w strony rodzinne wychodzi za mąż za obiecującego publicystę Piotra Kownackiego, wybitnego działacza narodowego na terenie Wileńszczyzny. Pracuje w „Dzienniku Wileńskim", gdzie bardzo często ukazują się artykuły obojga małżonków. Zajmują skromne mieszkanie na Kasztanowej 7, gdzie przeważnie jeden lub dwa pokoje odstępują niezamożnym studentom. Nie dość na tym, Kownacka potrafi ze swoich ciężko zapracowanych nocną pracą w redakcji pieniędzy opłacić czesne któregoś z mieszkających u niej studentów, wyrzekając się tak bardzo potrzebnego jej wątłemu organizmowi urlopu. Choć jest młodą, ładną, lubiącą się zabawić kobietą, wyrzeka się niejednokrotnie zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb osobistych, by pomagać innym.

Nieprawdopodobnie po kresowemu gościnni oboje Kownaccy wiecznie nocują u siebie różnych działaczy lub przyjaciół, którzy zaglądają do Wilna. W ich ciekawym intelektualnym środowisku i serdecznie pogodnej atmosferze każdy czuje się jak u siebie w domu. Oboje gnębieni przez sanację, borykają się z ciężkimi warunkami pracy i życia. Z godnością znosi Zofia osobiste tragedie, aresztowanie i osadzenie męża w Berezie Kartuskiej.

W 1940 r. latem przedostają się oboje z Wilna do Warszawy, gdzie Piotr rzuca się w wir podziemnej pracy politycznej. Wesoły, uroczy gawędziarz rychło wpada Niemcom w oko, toteż aresztują go z początkiem listopada 1940 r. Następnie po roku wywożą do Oświęcimia, gdzie po dwóch latach ginie. Zofia pracuje w dalszym ciągu w organizacji, kontaktując się z okupowanym przez bolszewików Wilnem.

5 grudnia przychodzi do kawiarni „Arkadia" przy Moniuszki 5, by dowiedzieć się o poczynionych staraniach w sprawie aresztowanego przed trzema dniami Stanisława Piaseckiego. O godz. 7 wieczorem podczas koncertu wpada do lokalu z rykiem 38 gestapowców, obstawiając wszystkie wejścia. Aresztują 35 osób, z czego 6 kobiet, między nimi Zofię Kownacką. Nieświadomi jej zamknięcia towarzysze pracy przesyłają do niej z Wilna w listach wiadomości polityczne, pisane między wierszami „sympatycznym" atramentem, nie zdając sobie sprawy, że Niemcy przejmują całą korespondencję. Nic też dziwnego, że materiał obciążający Zofię Kownacką powiększa się z dnia na dzień. Po 10 miesiącach więzienia wraz z dwiema towarzyszkami z „Arkadii" (trzy zostały zwolnione): Ireną Piasecką i niżej podpisaną zostaje wywieziona pierwszym wielkim transportem kobiecym (200 kobiet) do Ravensbrücku, o którego istnieniu nie wiedziano przedtem w Warszawie ani na Pawiaku.

Tu dopiero Zofia wykazuje całą wielkość swej duszy i serca. Z powodu częstych ataków wątroby ma mniejszą odporność fizyczną niż inne, a jednak nigdy nie narzeka. Ponieważ nie jest w stanie jeść codziennej, na wpół surowej kapusty, a często nawet czarnego chleba, jest więc o wiele głodniejsza i rzecz prosta chudsza i słabsza od innych. Jakże często jednak oddaje swą niezbędną do życia porcję chleba komuś, kto cierpi lub załamuje się z głodu. Rozumie dobrze, jakie niebezpieczeństwo kryje w sobie głód, osłabiający ośrodki woli, toteż dodaje otuchy, pociesza, strofuje w razie potrzeby, lub odrywa od rzeczywistości umiejętnym skierowaniem myśli na inne tory. Cierpliwa i wielkoduszna znajduje zawsze odpowiedni stosunek do zagadnień. Gdy zapada na tyfus wszystkie tajne sprężyny obozu poruszone są, by „organizować" niemożliwe, zdawałoby się, do zdobycia dla więźniarek lekarstwa, czy niezbędną dla podtrzymania serca prawdziwą czarną kawę. I ryzykiem zdobywa się je niesłychaną pomysłowością z kantyny gestapowskiej. Lecz cóż, Zofia zawsze uważa, że bardziej potrzebują ich inne chore, oddaje więc koleżankom z takim trudem i narażeniem się zdobyte i przyniesione dla niej leki. W chorobie promieniuje od niej jakaś nieziemska dobroć, ale siły opuszczają ją z dnia na dzień. Cudem jakimś wychodzi z tyfusu. Organizm jednak jest tak wyczerpany, że przyplątuje się dyzente-

ria, której już nie może przetrzymać. Umiera na początku 1945 r., tj. blisko przed zakończeniem wojny.

Zofia Kownacka była jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych, jakie spotkałam w życiu.

Dawniej, gdym wspominała radość pierwszych dni swobody po wyjściu z obozu, zawsze z bólem myślałam o kochanej Zosi, która nie zaznała tych z niczym nieporównanych chwil budzenia się poczucia wolności osobistej. Ale gdy teraz zastanawiam się nad jej odejściem widzę, że niespotykaną dobrocią i cierpieniem zasłużyła sobie na łaskę śmierci z nadzieją lepszego jutra.

WIKTOR TROŚCIANKO

KRAJ WOBEC ZBRODNI KATYŃSKIEJ

„I stanęli oko w oko przeciw sobie dwaj zbrodniarze przy otwartym grobie“
(Z bezimiennego wiersza lwowskiego: „Nad grobami polskimi w Katyniu“, 1943.)

NIEOSĄDZONA — dotychczas i oficjalną tajemnicą osłonięta zbrodnia lasu katyńskiego — została rozpoznana natychmiast przez doświadczonego eksperta wszelkich zbrodni wojennych: przez Polaków w kraju. Stało się to, powtarzamy, natychmiast po ujawnieniu i wydobyciu na światło dzienne pierwszych ofiar mordu. Werdykt narodu polskiego — był najzupełniej obiektywny. Równie nienawistni dla Polaków byli oprawcy niemieccy, jak i ponura pamięć NKWD, które uciekając w popłochu z polskich ziem wschodnich, zdążyło w ostatnich jeszcze godzinach przed ucieczką wymordować w bestialski sposób tysiące uwięzionych Polaków.

Gdy w kwietniu 1943 r. rozeszła się wiadomość o odkryciu pod Smoleńskiem masowych grobów polskich — społeczeństwo polskie, zorganizowane w państwie podziemnym, miało do dyspozycji nie jeden lecz kilka sposobów stwierdzenia obiektywnego, niezależnego od Niemców jak się stan sprawy przedstawiał na miejscu. Polskie Siły Zbrojne w kraju miały na zapleczu frontu niemieckiego przez cały czas trwania działań wojennych swoje placówki informacyjne. Przedostanie się z Warszawy czy z innego punktu Generalnej Gubernii pod Smoleńsk bez oficjalnych zezwoleń niemieckich było dla ludzi wyspecjalizowanych w tej dziedzinie rzeczą zwyczajną. Istniała wreszcie możliwość wykorzystania ostentacyjnej niemieckiej „dobrej woli“ w pokazywaniu Polakom grobów katyńskich i przenikania specjalistów delegowanych przez Polskę Podziemną do ekip robotniczych. Pierwsze raporty nadeszły bardzo szybko. Dla sprawy katyńskiej powstała w organizacji podziemnego państwa specjalna komórka dokumentacyjna, operująca najbogatszym materiałem dowodowym jaki można w ogóle do wykrywania morderstw zgromadzić.

Dla całego społeczeństwa, gnębionego z dzikim okrucieństwem przez aparat niemiecki, stało się jasne i to bez cienia wątpliwości, że zbrodnia katyńska jest dziełem sowieckim. Jak się rzekło na początku, Polacy na skutek tragedii pierwszych lat wojny stali się naprawdę biegłymi w rozpoznawaniu metod eksterminacji. Zbrodnię sowiecką od niemieckiej można było odróżnić tak, jak w medycynie sądowej odróżnia się morderstwa patologiczne od pozostałych, dokonanych przez tzw. ludzi „normalnych“. Jeśli Niemców z ich obłędną, hitlerowską teorią rasizmu można w rozwoju myśli ludzkiej traktować jako zjawisko patologiczne — niebezpieczny, zbiorowy obłęd — to komunizm, z jego „naukową analizą“ atakowanych społeczeństw należy traktować jak coś świadomie antyludzkiego. W morderstwie tysięcy oficerów jeńców jest właśnie widoczny ten świadomie antyludzki czynnik zniszczenia. I to było jasne dla wszystkich, którzy w kraju zetknęli się z rzeczywistością sowiecką w latach 1939-41.

Reakcję na wiadomość o zbrodni katyńskiej można nazwać wstrząsem, lecz nie zaskoczeniem. Dzięki dobrze zorganizowanej sieci informacyjnej społeczeństwo polskie w 1943 r. orientowało się w prawdziwym stosunku polityki sowieckiej wobec Polski. Nikt nie żywił złudzeń co do istotnych zamiarów Rosji Sowieckiej. Żywiono tylko złudzenia, że siła sprzymierzonych na Zachodzie intencje te skutecznie pokrzyżuje.

Wiadomości podawane przez niemiecką prasę gadzinową i przez megafony na ulicach i placach w Polsce — nie zbierały tłumów słuchaczy. Każdy szukał odpowiedzi i informacji ze strony czynnika polskiego.

W tym czasie rolę kierowniczą w polityce polskiej w kraju pełniły polskie ruchy polityczne, zorganizowane w Porozumieniu Stronnictw; Delegatura jako czynnik wykonawczy miała za zadanie przekazywanie sformułowań polityki i polskiej oceny wydarzeń na terenie kraju do czynników polskich poza granicami państwa. W sprawie katyńskiej poszły zagranicę informacje, na podstawie przeprowadzonych badań na miejscu, pod Smoleńskiem. Rezultaty tych badań, oraz bogate obserwacje Polaków przebywających w ZSSR — dawały rządowi gen. Sikorskiego głęboki i tragiczny obraz prawdziwego stosunku Rosji wobec narodu polskiego. Warto też przypomnieć, że od tego przełomowego momentu kraj zaczął otrzymywać z Londynu depesze alarmujące o brutalnym niebezpieczeństwie sowieckim, niesionym na bagnetach czerwonej armii i penetrującym polskie życie podziemne.

Działo się to w tym samym czasie, kiedy na stronicach milionowych egzemplarzy ilustrowanych magazynów angielskich i amerykańskich, w książkach, radio i prasie zachodniej, komunizm i Rosja Sowiecka występowały upozowane heroicznie i podpisywane jako „glorious Ally“. Polska od początku nie miała złudzeń, a od 1943 r. miała pełną świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa własnego i narodów innych, skoro stało się jasne, że dla utrzymania Rosji w obozie sprzymierzonych świat zachodni przemilczy każdą zbrodnię popełnioną przez komunizm.

Na terenie Polski sprawa katyńska miała również natychmiastowy skutek i od strony przeciwnej: akcji sowieckiej w Polsce. Ulubioną metodą sowiecką jest podstęp polityczny. Toteż przez dwa pierwsze lata konspiracja komunistyczna w oparciu o partyzantkę armii czerwonej w Polsce, starannie maskowała się rzekomo jednolitą, patriotyczną postawą polską, usiłowała legitymować się walką o niepodległość. W połowie 1943 r. w kilka miesięcy po ujawnieniu się Katynia taktyka sowiecka w Polsce uległa gwałtownemu zaostrzeniu, w kierunku odłączenia się od „faszyzmu i reakcji“ i stworzenia wokół PPR nowego, konkurencyjnego ośrodka zrywającego z państwem polskim, reprezentowanym przez rząd na wygnaniu i przez władze Polski Podziemnej. Od tego czasu wzmaga się również prowokacja komunistyczna czy to w działaniu przeciwniemieckim dla wywołania represji (zabójstwa pojedyńczych żołnierzy niemieckich, granaty rzucane na kawiarnie itp.), czy to współdziałanie z Gestapo przez dostarczanie Niemcom list Polaków z ruchu konspiracyjnego. Na ziemiach wschodnich rozpoczyna się w tym czasie akcja na skalę masową: sowiecki terror wsi i miasteczek, przymusowy pobór do partyzantki sowieckiej, mordowanie „obszarników“ przez bandy dowodzone przez oficerów armii czerwonej.

Polityka sowiecka — zniszczenia narodu polskiego i jego niezależności europejskiej spotkała się tu ze wschodnią nienawiścią i żądzą zemsty za ujawnienie jednej z najbardziej ponurych zbrodni wojennych w dziejach naszej cywilizacji — Katynia.

Gdy na terenie międzynarodowym nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między ZSSR a rządem polskim w Londynie — w kraju, a zwłaszcza na jego rubieżach — lała się dalej krew polska, a ziemia wchłaniała nowe niezliczone do dziś ofiary. Poprzez linię frontu, samoloty sowieckie — prawdopodobnie z dostaw Lease & Lend — rzucały broń przeciwko Polskim Siłom Zbrojnym, polskiej ludności bezbronnej i przerzucały sztaby komunistyczne do walki z polityką polską, dokoła której wówczas skupiał się cały naród, ufny w przymierze z Zachodem.

Jak bardzo kraj odciął się od wszelkiej propagandy niemieckiej i wykorzystania przez aparat Goebbelsa polskiej tragedii pod Smoleńskiem, świadczy późna jesień 1943 r., kiedy to na murach miast polskich zjawiły się niemieckie czerwone afisze śmierci, stanowiące odwet za działalność polskiego państwa podziemnego. Na afiszach tych ręka polskich patriotów rysowała niezmywalną farbą krótkie słowo: KATYŃ. Słowem tym stawiano znak równości między moralnością Niemiec Hitlera i Rosji Sowieckiej Stalina. Gdy z megafonów ulicznych odczytywano długie szeregi nazwisk Polaków przeznaczonych na następną egzekucję — tuż obok, z murów czerniły się słowa: KATYŃ... KATYŃ... KATYŃ.

Niemcy zrozumieli, że impreza propagandowa o lesie katyńskim nie rozluźniła polskiego oporu. Zareagowali na to po swojemu: zwiększeniem terroru. Zbrodnia więc katyńska — jak to zwykle bywa w zjawiskach kryminalnych — pociągnęła za sobą następne, zarówno po stronie sowieckiej jak i niemieckiej. Ukoronowaniem i ostatecznym upustem masowej żądzy zabijania było powstanie warszawskie, nad którym pochyliły się twarze czerwone i twarze brunatne.

Nic więc dziwnego, że poezja polska czasu wojny, łowiąca w słowa bezmiar tragedii odpowiedziała na Katyń wierszem tak przejmującym, jak ten, którego wyrazy posłużyły za motto niniejszych uwag.

Wiersz ten, kolportowany obecnie w Polsce w ręcznych odpisach, jest tak samo tragiczny dzisiaj, po siedmiu latach, jak wtedy, gdy był pisany. Źródło bowiem tamtej tragedii nie wyschło. Toczy się rozszalałe i wezbrane przez kraje stu milionów ludzi w Europie, rozlewa się olbrzymią rzeką w Azji i grozi potopem całemu światu.

Katyń jest tej groźby najwymowniejszym, lecz wciąż jeszcze zbyt cicho wymawianym wyrazem.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

OBRONA RZECZY NIE DO OBRONIENIA

ROOSEVELT AND THE RUSSIANS. The Yalta Conference by Edward R. Stettinius jun. Edited by Walter Johnson of the University of Chicago. Jonathan Cape. Londyn, 1950. Stron 320.

Zmarły mniej więcej rok temu b. sekretarz stanu Edward Stettinius, który objął spuściznę po sędziwym Cordell Hullu w końcowej fazie wojny, znany był raczej jako sprężysty administrator akcji pomocowej w ramach Lend and Lease. Jako polityk i dyplomata nie odznaczył się jakimiś trwałymi osiągnięciami. Był tylko pomocnikiem i wykonawcą woli swego prezydenta — Roosevelta, po którego śmierci zresztą złożył swój urząd. O Jałcie pisał już dość obszernie następca Stettiniusa — Byrnes, również uczestnik konferencji krymskiej, tak złowrogo zapisanej w pamięci Polaków, świadectwo Stettiniusa jednak, jako ówczesnego sekretarza stanu, posiada szczególny ciężar gatunkowy.

Stettinius był bez zastrzeżeń oddany Rooseveltowi. Wobec rozczarowań, jakie wzbudziła w opinii amerykańskiej zapoczątkowana przez Roosevelta polityka przyjaźni i... ustępstw wobec Rosji Sowieckiej, polityka, która znalazła swoje ukoronowanie właśnie w Jałcie, Stettinius podjął się obrony ówczesnego stanowiska amerykańsko-angielskiego. Zaraz na początku książki, a potem obszerniej jeszcze w końcowych rozdziałach, gdy zestawia bilans konferencji, posuwa się do twierdzenia, że Jałta stanowiła triumf dyplomatyczny dla Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii i że koncesje, jakie przyznał Związek Sowiecki swym partnerom, były większe i poważniejsze niż koncesje poczynione przez mocarstwa zachodnie na rzecz Rosji. To nie Jałta była winna późniejszym trudnościom, tylko zła wola Rosjan, którzy nie wykonali swych zobowiązań.

Nie ulega wątpliwości, że Roosevelt i Churchill oddawali się złudzeniom, gdy opierali się na zapewnieniach Stalina i jego współpracowników. Wydaje się zresztą, że odpowiedzialność za błędne posunięcia w stosunku do Rosji obciąża w wyższym stopniu Roosevelta niż Churchilla, bo wykonanie planów strategicznych tego ostatniego byłoby zagrodziło częściowo przynajmniej postępowi sowieckiemu w Europie środkowo-wschodniej i na Bałkanach. Roosevelt jednak tej koncepcji się oparł, zdaje się nie tylko z przyczyn czysto wojskowych.

Po stronie anglo-amerykańskiej były „wishful thinking", pewna naiwność i przesadna wiara w dobrą wolę partnera sowieckiego, po stronie rosyjskiej zaś świadomość celu, realizm i wielka zręczność dyplomatyczna.

Co warta była uczciwość polityczna i w ogóle zapewnienia Sowietów tego najlepiej dowiodła historia lat 1939-1941, kiedy Rosja deptała cynicznie swe uroczyście zaciągnięte zobowiązania międzynarodowe w postaci paktów o przyjaźni i nieagresji z Polską, Finlandią i krajami bałtyckimi itd., kiedy zwodziła Francję i Anglię podczas rozmów w Moskwie na temat zagrodzenia ekspansji niemieckiej, a równocześnie prowadziła rokowania z Rzeszą hitlerowską w sprawie rozbioru Polski i stref wpływów na obszarze Europy środkowo - wschodniej.

Przyjrzyjmy się zresztą temu „triumfowi dyplomatycznemu", odniesionemu rzekomo w Jałcie przez Roosevelta i Churchilla. Na czym, według Stettiniusa, polegały ustępstwa rosyjskie? A więc na tym, że Rosja zgodziła się współpracować w organizacji Narodów Zjednoczonych, że przyjęła zasadę koordynacji wojskowej w ostatniej fazie wojny (co w rezultacie tylko wyszło na jej korzyść, gdyż spowodowało wstrzymanie błyskawicznego pochodu amerykańskiego w Niemczech i w Czechosłowacji), że zgodziła się na udział Francji w okupacji Niemiec, na uregulowanie kwestii reparacji niemieckich, że przyjęła deklarację o wyzwoleniu narodów europejskich (która zresztą w praktyce nie była przez Rosję stosowana) w brzmieniu amerykańskim. Do sukcesów dyplomacji amerykańskiej Stettinius zalicza również załatwienie sprawy polskiej. Twierdzenie to jednak uzasadnione jest w sposób bardzo mało przekonywający. Podkreśla on, że sprawa Polski okazała się najbardziej spornym i najtrudniejszym punktem obrad jałtańskich. Jeżeli dyplomacja anglo-amerykańska nie zdołała przeprowadzić swego punktu widzenia w sprawie polskiej tłumaczy się to — według Stettiniusa — ówczesną sytuacją wojskową (na zachodzie Ren nie był przekroczony, na wschodzie cała niemal Polska była w rękach wojsk rosyjskich, które docierały do Odry). Autor zapisuje na konto sukcesów anglo - amerykańskich, że w Jałcie nie uznano linii Odra - Nisa za granicę zachodnią Polski, jak tego chciała Rosja. Natomiast „Stany Zjednoczone — notuje Stettinius — nie miały w Jałcie możności (was in no position) przeprowadzenia zmiany w postawie rosyjskiej wobec granicy wchodniej" (str. 267. Należy tu zaznaczyć, że Roosevelt i Churchill w zasadzie z punktu przyjmowali linię Curzona w błędnym jej rozumieniu, tj. jakoby prowadzącą również poprzez Małopolskę wschodnią, próbowali jednak w sposób bardzo miękki nakłonić Rosję do pozostawienia Polsce Lwowa i zagłębia naftowego drohobycko - borysławskiego. Warto tu zacytować streszczenie wywodów Roosevelta z dn. 6 lutego 1945 r., kiedy jako przewodniczący zainaugurował dyskusję na temat Polski. Cytujemy tu dosłownie: (Prezydent Roosevelt) „przypomniał, że w Teheranie stwierdził był, że według jego przekonania naród amerykański skłonny był przyjąć linię Curzona jako granicę wschodnią Polski, lecz że gdyby Związek Sowiecki wziął pod uwagę (would consider) pozostawienie Polsce Lwowa i pól naftowych w województwie lwowskim, miałoby to zbawienny wpływ na amerykańską opinię publiczną. Podkreślił jednakże, że poddaje on to jedynie pod rozwagę bez upierania się przy tym — that he was merely suggesting this for consideration than insisting on it" — str. 143. Istotnie ani Roosevelt ani Churchill nie upierali się przy tym postulacie i bez dalszych sprzeciwów przyjęli odmowę Stalina).

Trochę więcej stanowczości niż w sprawach terytorialnych okazywali Roosevelt i Churchill w sprawie rządu polskiego, to znaczy odmówili uznania rządu lubelskiego, a obstawali przy jego reorganizacji i wpro-

wadzeniu do niego polityków przebywających zagranicą. Ostateczny rezultat konferencji w sprawie polskiej Stettinius przedstawia jako kompromis: „Nie było to dokładnie cośmy chcieli, ale z drugiej strony nie było to również dokładnie, co chciał Związek Sowiecki. Nie była to „wyprzedaż" (sell-out) demokratycznej Polski, jak brzmiał szeroko rozpowszechniony zarzut, lecz było to zobowiązanie Stalina, że pozwoli on zorganizować nowy rząd i odbyć wolne wybory w kraju, który był całkowicie zdany na jego łaskę" (str. 267).

Obrona polityki jałtańskiej kulminuje w końcowych zdaniach książki: „Było rzeczą konieczną (essential), by premier Churchill i prezydent Roosevelt podjęli uczciwą próbę w Jałcie w kierunku współpracy z Rosjanami. Dla pokoju światowego musieli zrobić każdy wysiłek, by wypróbować dobrą wiarę Związku Sowieckiego. Dopóki nie były zawarte i wypróbowane porozumienia, świat nie mógł wyraźnie przekonać się o trudnościach uzyskania tego, by Rosjanie wykonali swe zobowiązania. Narody zachodnie nie mogłyby prowadzić swej obecnej polityki wobec Związku Sowieckiego, gdyby nie miały za sobą dokonań prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla w zakresie wspólnego wysiłku zmierzającego do traktowania z przywódcami rosyjskimi w sposób uczciwy i honorowy w Jałcie" (str. 285).

Dziś coraz bardziej ustala się opinia, że za to doświadczenie świat cały a zwłaszcza kraje za tzw. żelazną kurtyną, zapłaciły cenę zbyt wysoką. Jeżeli Roosevelt i Churchill przejdą do historii jako mądrzy i energiczni przywódcy wojenni, to jako organizatorzy okresu pokojowego zawiedli na całej linii.

(m. ost.)

POEMAT O BOGU

Michał Pawlikowski: WIERZĘ W JEDNEGO BOGA. Poemat z „Hymnów strzelistych" pierwszy. Londyn, 1950. Nakład i skład główny Leopolis Co. Ltd. Stron 19. Cena 2/6.

Poemat religijny Michała Pawlikowskiego wydany był po raz pierwszy w r. 1934 w bibliotece Medyckiej jako pierwsza część „Hymnów strzelistych", które, niestety, dotąd w całości drukiem ogłoszone nie zostały. Poemat „Wierzę w jednego Boga" przetłumaczony został m. in. na język włoski przez Damianiego. Obecnie nakładem Leopolis ukazuje się jego drugie polskie wydanie.

I dobrze się stało. Jest to bowiem utwór posiadający nieprzeciętne wartości zarówno treściowe jak i formalne i stanowiący pozycję odrębną w naszej literaturze. Solidna treść filozoficzna łączy się w nim w sposób organiczny z łatwą w czytaniu i pozornie prostą a w rzeczywistości bardzo wyszukaną formą. Rymy i asonanse służą w niej dla uwydatnienia rytmu myśli, podporządkowane są wewnętrznej melodii utworu. Rzecz pisana jest białym wierszem niepełnym, w rytmice starych klechd ludowych a łamana jak proza poetycka. Da się ona może porównać do liryki religijnej Karola Péguy, używającego podobnego zespolenia treści z formą rytmicznej prozy poetyckiej np. w „Le mystère des Saints Innocents".

Słownictwo Pawlikowskiego jest szczególnie przejrzyste i jasne choć ozdobne, oddaje ono tym wyraźniej głębokość myśli religijnej. Rozważania teologiczne i filozoficzne przeplatają się w sposób jak najbardziej naturalny i niejako konieczny z fragmentami lirycznymi. Obrazy pełne grozy i majestatu przechodzą w urzekające swą prostotą i wyczuciem piękna przyrody widoki krajobrazu. Pomimo wyjątkowo płynnej formy, a może dzięki niej, w dziewięciu krótkich pieśniach mieści się bogactwo intelektualne i plastyczne.

Nieczęsto spotyka się w liryce tak piękne ujęcia myślowe jak na przykład.

„Ty, w Którym tonie pierwsze i w Którym tonie ostatnie pytanie, Któryś wszystko stworzył z niczego, kiedyś rzekł: Niech się stanie!

I oto nic niepojęte, z woli Twojej odmienione, w duchu Twoim zanurzone, rozbiło się na przestrzeń: w tę stronę — i w tamtą stronę, — i wyciągnęło końce w nieskończoność...

I oto nic nie pojętej myśli Twej spłynęło lotem i rozbiło się na czas: na przedtem — i na potem, — i zanurzyło końce we wieczność...

Tyś jest nieskończoność i wieczność... Tyś jest jak Greków ocean zamknięty dokoła nas. W Tobie się zwichrza czas i płynie w strony obie. Dlategoś jest nieodmienny i dlategoś jest nieśmiertelny..."

A obok tego znaleźć można w tym poemacie i taki słoneczny obraz.

„Górska cisza głęboka. Południe, słychać tylko szmer lasu i szum potoka i głęboki zbyrk dzwonka mierędzającej po polanie krowy... Ponad grań, jakże zjeżoną wysoko, — białe obłoki się gonią. Przedemną łuk wielkiej góry... jakże rozpięty szeroko! — Świat się w pogodzie złoci... Słychać gdzieś świerszcza, który bierze pierwsze skrzypce natury:

O Boże wieczystej mocy i nieskończonej dobroci!"

Jak pisze w przedsłowiu do drugiego wydania „Wierzę w jednego Boga" prof. Z. L. Zaleski, strofy Pawlikowskiego „zdołają może przełamać to odrętwienie dusz i to emigranckie nasze odwracanie oczu od wartości polskich żywych, istotnych". Oby.

RAJ PROLETARIACKI

Franciszek Gonczyński: RAJ PROLETARIACKI. Gryf Publications Ltd. Londyn, 1950. Stron 260. Cena 9/6.

Literatura sowietoznawcza została wzbogacona o nową cenną pozycję. Autor, p. Franciszek Gonczyński, tak jak wielu Polaków, przeszedł przez Rosję. Widział więzienia, łagier, przewędrował po tzw. amnestii z północy na południe Rosji, był wreszcie jednym z mężów zaufania ambasady R. P. aresztowanych przez NKWD w r. 1942, którzy opuścili Sowiety tylko dlatego, że skazano ich na wydalenie z granic ZSSR (najsurowszy wymiar sprawiedliwości sowieckiej).

Przeżycia swe opisał namiętnie. Książka jest jednym wielkim krzykiem, wołaniem o sprawiedliwość i prawdę.

„...Widziałem — pisze autor w przedmowie — dolę robotnika w „raju proletariackim" w kraju, który jest własnością ludzi pracy...

Człowiekowi, który żyje z własnej pracy powodzi się czasem lepiej, czasem gorzej. W jednym tylko kraju powodzi mu się zawsze źle. Krajem tym są Sowiety.

„Powodzi się" to niewłaściwe słowo: robotnikowi w Sowietach jest zawsze źle. Jest mu tak źle jak wyobrazić sobie nawet nie może robotnik, żyjący w każdym innym kraju na kuli ziemskiej. Jest mu źle w znaczeniu fizycznym i psychicznym. W znaczeniu fizycznym jest mu źle, bo jest zawsze głodny, brudny, schorowany, a często zziębnięty. Jest mu źle w znaczeniu psychicznym, bo jest bezsilny i bezwolny, przywalony ogromem własnego nieszczęścia i bezbrzeżnego smutku, osłupiały z wiecznego strachu i przerażenia. Jest mu źle dlatego przede wszystkim, że nie żywi żadnej nadziei, aby mu kiedykolwiek mogło być lepiej.

Jego władcom, apostołom sowieckiego komunizmu dola jego jest obojętna. Interesuje ich on jedynie jako siła robocza i jako przedmiot, który trzeba pilnować, aby nie zechciał zacząć myśleć i postępować jak człowiek.

...Na cóż więc zużywa się nieprzebrane zapasy surowcowe Rosji, na co pracuje przemysł i na co idą miliardy wydawane co roku?

Przemysł pracuje na cele przyszłej wojny, która ludziom na Kremlu ma dać władztwo nad resztą świata — robotnik sowiecki pracuje w stanie zezwierzęcenia po to, aby innych robotników w krajach dotychczas niesowieckich zamienić na takich samych jak on niewolników — miliardy idą na opłacenie szpiegów, agentów i agitatorów, którzy mają ogłupiać robotnika w wolnej części świata i przekonać go, że Rosja Sowiecka jest rajem proletariatu.

Jeśli w Rosji Sowieckiej jest raj, to niech władcy Kremla otworzą szeroko granice, aby każdy mógł ów raj zobaczyć!

Dlaczego tego nie czynią?

Bo cały świat robotniczy stanąłby wtedy, jak jeden mąż w obronie sponiewieranego robotnika rosyjskiego i komunizm przestałby istnieć w Rosji jako praktyka, a na całym świecie jako idea."

OD ADMINISTRACJI

W związku z zapytaniami jakie otrzymaliśmy wyjaśniamy, że za treść ogłoszeń oraz druków o charakterze reklamowym dołączanych do naszego pisma, w myśl przyjętych ogólnie zwyczajów prasowych ponoszą odpowiedzialność wyłącznie ich autorzy.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ZBIGNIEW STYPUŁKOWSKI W RADIO

W czwartek 25 maja w dziale „Taking stock“ radia brytyjskiego przemawiał p. Zbigniew Stypułkowski na temat sowieckich metod badania politycznego i procesów pokazowych. Po przemówieniu C. J. Hamson, profesor prawa w Cambridge, W. N. Ever, redaktor „Daily Heralda“ i profesor psychiatrii zadawali prelegentowi szereg pytań.

Zdaniem mec. Stypułkowskiego w śledztwie poprzedzającym pokazowe procesy polityczne zasadnicza metoda nie polega na zastrzykach medycznych ani zwykłej torturze fizycznej, lecz na połączeniu wyrafinowanej metody psychologicznej z pewnymi środkami mechanicznymi. Środki te w postaci przede wszystkim bezsenności, głodu, chłodu i ustawicznego wzywania na wielogodzinne, przeważnie nocne badania osłabiają odporność człowieka i to w ten sposób, że sam przestaje zdawać sobie sprawę z utraty odporności i nienormalności własnej psychiki.

Pierwsze kilkadziesiąt badań nie są skierowane ku przedmiotowi oskarżenia. W tym okresie sędzia śledczy ma trzy główne zadania do wypełnienia: po pierwsze zapoznać się dokładnie z warunkami życia oskarżonego, z jego stosunkami rodzinnymi, wyrobić sobie pojęcie o jego charakterze, sile woli, stopniu inteligencji, ambicjach i słabościach; po drugie skazić wyobraźnię i zachwiać równowagę psychiczną oskarżonego drogą nieustannego przechodzenia od atmosfery pełnej optymizmu do najbardziej czarnych horoskopów. Oskarżonego szantażuje się rodziną i zmusza do ciągłego mówienia o czymkolwiek godzinami. Zmusza się go również do myślenia w czasie przerw między badaniami wyłącznie o badaniu i własnej obronie. Po kilku tygodniach takiego nieustannego preparowania oskarżony przestaje zdawać sobie sprawę z tego, co stało się naprawdę a co zasugerował mu sędzia śledczy.

Pierwsze zeznania zaczynają się zależnie od gotowości żywego preparatu, jakim staje się oskarżony, między czterdziestym a osiemdziesiątym przesłuchaniem. Gdy raz ofiara zaczyna mówić, nie może się zatrzymać i nie pozwalają jej ustać. Jest ona wówczas pozbawiona wszelkiego krytycyzmu i najczęściej nie zdaje sobie sprawy co mówi sama, a co sędzia śledczy. Prokurator Rudenko, późniejszy oskarżyciel w procesie norymberskim oświadczył p. Stypułkowskiemu, że jest pierwszym człowiekiem od czasu rewolucji, który, mimo że się nie przyznał do winy, będzie sądzony przed sądem najwyższym ZSSR w publicznym procesie.

Audycja trwała blisko godzinę.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

O PROSPEKCIE NA KSIĄŻKĘ

Szanowny Panie Redaktorze,

Leży przede mną osobliwe zawiadomienie. Druk datowany w Londynie 20 marca 1950 roku. Sam ten druk powinien być przechowany jako ważna pozycja bibliograficzna. Jeżeli nie stanowi on słupa milowego historii, to będzie w każdym razie świadkiem czasu tego największego kryzysu historycznego, jaki przeżywamy. Jest to prospekt na książkę Jędrzeja Giertycha, napisany przez samego autora z chwytającą za serce szczerością.

My, tu na emigracji wiemy dobrze, kto to jest Giertych. Wiemy nie tylko z jego broszur politycznych i z jego dzieła historycznego, które, choć sam autor podkreśla jego charakter publicystyczny, ma nie tylko nieprzemijające walory syntetycznej myśli historycznej, ale wnosi i podnieca nowe poglądy w najbardziej nas obchodzących problemach. Wiemy jednak o autorze coś więcej. Wiemy, że jest to ktoś rozumiejący głęboko, iż jego obowiązek służby publicznej nie skończył się na Helu, ktoś nie szukający moralnej wymówki w konieczności walki o byt własny i swej rodziny, która by go od tej służby zwalniała. Wymówki, jakże w tym wypadku uzasadnionej! Czy nie dość uprzytomnić sobie, że ma na utrzymaniu sześcioro dzieci, na które musi zarabiać ciężką pracą fizyczną, raz jako tragarz raz jako robotnik u Lyonsa, dziś znowu jako pomocnik piekarski! Dość już trudno zrozumieć jak ten człowiek znajduje jeszcze czas na poświęcenie domowi i wychowaniu dzieci, ale zupełnie niepojętą staje się w tych warunkach możność jego tak żywej, najpracowitszej może na emigracji, działalności pisarskiej.

Nie trzeba być znawcą stosunków wydawniczych polskich na tym wygnaniu, aby wiedzieć, że praca pisarska, nie tylko nie jest dochodowa, ale że jeżeli się do niej w ogóle materialnie nie dopłaca, to trzeba nałożyć niewspółmiernym wysiłkiem, aby końce dociągnąć. Dyktować ją może tylko gwałtowne poczucie potrzeby mówienia prawdy, tak jak się ją rozumie. Dyktować ją może także poczucie obowiązku społecznego i narodowego, które wywróci wszystkie „nie można“, wszystkie „nie da się“, wszystkie „brak czasu“, „brak sił“, „trzeba żyć“ i „nie ma za co“.

Jeżeli, po zdaniu sobie sprawy z dotychczasowej pracy Giertycha, jeszcze coś mogło nas zaskoczyć, to niewątpliwie zaskoczyła wiadomość, że autor wydaje... powieść. Gdyby to pismo pochodziło od kogo innego, można by pomyśleć: No, ten człowiek chce się wywnętrzyć, ma „rażę“ pisania dla pisania, pasję zaznaczenia swej indywidualności bez względu na to na jakim polu. Ale wszystko to nie ma znaczenia, jeśli chodzi o Giertycha. Całe życie interesował go nie on sam, ale problem, nie interes własny ani imię, ale sprawa. Jego cel był zawsze zewnętrzny, poza nim. Tym bardziej fascynująca jest wiadomość o powieści Giertycha. Trudno przewidywać jej ocenę literacką. Niewątpliwie przerzucenie się ze stylu publicystycznego do czysto literackiego nie jest łatwe, toteż nie wiem jak będzie się przedstawiała powieść „W Polsce między wojnami“ z punktu widzenia czystego estetyzmu i faktury powieściowej, i jestem tego bardzo ciekaw. Prostota tytułu jest zapowiedzią dodatnią. Ale w tym wypadku nie jest to najważniejsze. Jeżeli dzieło literackie ma być wyrazem stosunku autora do tematu, to można być co najmniej pewnym, że ten autor ma o czym mówić i że powieść będzie pełna treści wewnętrznej, która poradzi się będzie ponad surowość czy niedociągnięcia faktury, jeśli takie będą. Rozumiem z prospektu, że będzie to wizja Polski, jaką autor widział i jaką pragnie by była. Jest to dzieło pisarza politycznego, które nie jest wyrazem suchej doktryny, ale wyprowadza ją z charakteru i kultury pokoleń i wiąże z życiem powszednim i psychiką jednostki. Dlatego to Giertychowi nie wystarcza publicystyka.

Dziś, kiedy słyszymy nieraz przerażająco bezmyślne głosy za zrywaniem z tradycją, głosy ludzi nie chcących zrozumieć jedynej prawdy: ciągłości życia narodu, powieść polska wiążąca życie pokoleń, może mieć tym większe znaczenie. Więc choć nie wiemy jak będzie napisana, ale to jedno wiemy. Warto zatem i mnie, choć niezasobnemu, zdobyć się na tę niską cenę subskrypcyjną (3 tomy, po 5 szylingów za tom) i przyczynić się tym samym do możliwości wydania książki. Giertych ma dobre pióro, przypuszczam, że i literacko nie zawiedzie. Ale choćby miało nawet z tej strony jakie niedociągnięcia, gotów jestem przejść nad nimi do porządku. Nareszcie jakiś pisarz, który duszę narodu głęboko rozumie i miłuje, chce ze mną nie tylko doktrynalnie, ale na żywo, „od człowieka do człowieka“ mówić o tym co mi najbardziej na sercu leży.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

„MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W.8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. W Belgii: miesięcznie 21 fr., kwartalnie 60 fr., półrocznie 120 fr.